Ner 31. Kraków 1 września 1867. **Rok II.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami opisami dołącza się każdego 1go. **Nuty każdego 15go.**

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Zwracamy uwagę.

☞ W ostatnim miesiącu odbieraliśmy od Sz. Prenumeratorów **reklamacyje** żaląc się, że ich „Kalina“, albo nie dochodzi, albo nie w całości.

Każdą reklamacyją natychmiast uwzględniamy, winniśmy jednak zauważyć, że ekspedycyja nasza nic tutaj nie jest winną. Dochodzenie wszystkich dzienników musiało być w ostatnich czasach pobałamucone z powodu przerwy komunikacyj, zrządzonych wylewem wód.

Szczegółowo zaś co do „Kaliny“ zachodzi ta okoliczność, że na bardzo wielu pocztach znajdują się **ciekawi**, którzy (zapewne poza plecami pocztmistrzów) **mody i nuty wyciągają** i dopiero tak zdefektowane numera odsyłają. Mamy na to liczne dowody — nie udajemy się jednak na drogę skargi z przyczyn bardzo zrozumiałych. **Wolimy raczéj na owe poczty, na których dotąd ciekawość panowała, z góry jeden egz. mód i nut** dla zaspokojenia ciekawych dołączać. Przypominamy w końcu, że każdym razem litery ***m.*** lub ***n.*** na adresach czerwono podkreślamy — można więc podług tego poznać, czy ***m***(ody) lub ***n***(uty) wyekspedjowane zostały, czy też po drodze zaginęły.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **mody.**

Ważność stowarzyszeń kobiet

PODŁUG WYKŁADU PANI

ULRYKI HENSHKE.

PRZEZ **L.**

(Ciąg dalszy.)

Czyliż nasze gospodarstwo domowe nie powinno korzystać z ogólnego postępu oświaty? Witamy też radośnie nowe narzędzie domowe, które ujmując w karby czas, wpłynęło i na umysł naszych kobiet. Mówię tu o maszynie do szycia. Zaprowadzenie jéj ma wielką towarzyską wartość. Biedne szwaczki wyznały mi, że zachowanie wzroku zawdzięczają li tylko maszynie do szycia. Sumienne, staranne matki mówiły mi z radością, że od zaprowadzenia maszyny, przestały same być maszyną. Ten mechaniczny pomocnik zostawia nam więcéj czasu i siły do oddania się szlachetniejszemu zadaniu żony i matki.

O ile radośnie ten nabytek witamy, nie możemy jednak zataić, że zresztą mało jeszcze uczyniono! Pomyślmy tylko o nieszczęśliwych niewolnicach w pralni! Cóż za okropna dola pracować dniem i nocą skurczoną postawą w wilgotnéj, szkodliwéj atmosferze, za płacę, która nie może pójść w porównanie z olbrzymiém użyciem sił!...

„Praczka długo żyć nie może“ — mówi dama salonowa — i wcale się nie dziwi, że biedna matka rodziny dla jéj wygody powoli się zamęcza. — O nie! O ile jest teraz niepotrzebném, aby biedna szwaczka ociemniała nad stębenkiem, którym bieliznę ozdabia, o tyle też jest pewném, że ta niewolnicza praca nad balją wiecznie trwać nie może!

Weźcie panie chemią na pomoc do waszego gospodarstwa, ona wam się i nadal przyda. Bo kuchnią nawet nie da się bez tego pomocnika zarządzić! Jak wiele unikęłybyśmy nieszczęśliwych doświadczeń w gospodarstwie, posiadając do niego klucz, który się w chemii znajduje. Jeżeli to zdanie wiary godném się nie zdaje, to proszę przypomnieć sobie, jakie kosztowne eksperymenta nasze sługi robią, zanim sobie pierwsze zasady kucharstwa przyswoją. Ale i my jesteśmy partaczkami w praktyce, bo nie znamy teoryi. Ta częśc naszego domowego powołania jest w tak ścisłém połączeniu z staraniem o zdrowie naszych domowników, żeśmy powinny zbliżyć się do nauki, która nam te zagadki rozwiązuje.

Kobieta powinna być wychowaną na rozsądną opiekunkę grona rodzinnego.

Wszakże i mężczyzna się uczy, zanim mu się urząd powierzy. A ponieważ nie ma świętszego urzędu nad ten, który nam sama przyroda wyznacza, zostawiajmyż zatém naszym młodym dziewczętom czas lat szkolnych na to, ażeby godnie wstąpiły w zakres późniejszych obowiązków. Wyposażmy je obszernemi, wielostronnemi

wiadomościami, które do powołania kobiety dzisiaj niezbędnie są potrzebne. Nauki o zachowaniu zdrowia rodziny — wychowania naszych dzieci, oględnego zaopatrzenia gospodarstwa — wszystkiego nauczyć się potrzeba. Do téj nauki powinny dziewczęta młodych lat używać, a nie do płochego próżniactwa, jak dotąd zwykle bywa.

Ktoby mniemał, że czas młodości poświęcony przygotowaniom, zdziera z życia jego blask i powab, ten nas nie zrozumiał.

Przeciwnie, chcemy utrwalić na silnéj podstawie kwiat prawdziwego piękna. Kobieta, która zadosyć uczyni wymogom powolania, znajdzie zawsze wolną godzinkę na użycie piękna. Jéj zbawienne działanie będzie samo przez się nacechowane pięknością. Jéj rządy spokojne, jasne, wielostronne w kole otaczających, utrzymają ją w ciągłym związku z żyjącym biegiem czasu. Zrozumie ona ważne zadanie męża, zrozumie dzieci wesołą ochotę, a z tych wszystkich żywiołów utworzy na silnéj podstawie siedzibę prawdziwego szczęścia.

Nie w tym domu sztuka jest w trwałém poszanowaniu, w którym pani młoda podczas tygodni miodowych jako artystka błyszczy. Kilka lat to ledwie potrwa, a potém wymogi życia, do których przygotowaną nie była, wezmą górę nad jéj siłami. Jeżeli obowiązków nie spełnia, dom jéj okropnemu ulegnie rozprężeniu. Jeżeli im wierną zostaje, staje się niewolnicą. Ogarniona i złamana wymogami swojego stanowiska, utraca w skutek jednostronnego pojmowania najpilniejszych obowiązków, harmonijną równowagę duszy. Z wysokiego powołania żony i matki spada i staje się szwaczką, kucharką. Jeszcze miga w jéj duszy wspomnienie lat młodych dość niejasne, i utrzymuje ją w niezadowoleniu i w rozstroju z samą sobą. Przy fortepianie, gdzie niegdyś błyszczała, siedzi igrająca córeczka, aby ten sam obieg powtórzyć. Czy się to szczęściem rodzinném nazywa?

Powtarzamy więc: n i e u k r a c a j c i e m ł o d y m d z i e w c z ę t o m l a t s z k o l n y c h!

I chociażby kto zabezpieczony był materjalnemi stosunkami, niemniéj jednak winien przygotowywać starannie córki do obowiązków późniejszych. Bo w jednym punkcie wszystkie się spotykamy; jesteśmy wszystkie poddane wiecznemu prawu przyrody, a biedna wyrobnica jak i księżna na tronie doznają wspólnie radości i bolu jednéj ciężkiéj godziny. — Ta jedna stanowcza godzina otwiera nam całe treściwe życie, wynosi nas nad doczesność i marność, i kojarzy nasze własne pojedyncze istnienie z całą ludzkością.

Nie mogę dostatecznie powtórzyć — moje siostry — jak koniecznem jest dla nas dobre rozumienie naszego powołania, oraz jak trudno pojąć je w całéj objętości. Jeżeli są kobiety, którym przyroda i przeznaczenie udzieliły łaski i pozwoliły wpływać zbawiennie i uszlachetniająco na życie nasze rodzinne — witajmy i pozdrawiajmy je. Niechaj wystąpią przed nas jako nauczycielki pismem i słowem, niechaj nam objaśnienia dadzą co do chowania i kształcenia dzieci. Kobieta posiadająca praktyczne wiadomości głównych podstaw gospodarstwa, niechaj nas uczy właściwego zarządzania i opiekowania się tém, co naszéj pieczy powierzone. Znajdą się i mężczyzni, którzy nam na pomoc przyjdą. Szczególniéj lekarze, pedagodzy wcale nam za niewłaściwe żądanie nie wezmą, jeżeli ich poprosimy, aby z bogatego skarbu swojéj wiedzy i doświadczenia, udzielili nam wiadomości o rozwoju naszych dzieci, pod względem cielesnym, duchowym, i obyczajowym. — Te kobiety, którym w istocie rodzina ich jest rzeczą najświętszą niechaj przystąpią do wspólnego związku, którego najbliższym celem będzie: zaskarbić sobie za pomocą wykładów, naukę i wiadomość wszystkiego, co w różnorodnych naszych stosunkach połączone jest z powołaniem kobiety. Starajmy się, żeby dopiąć wspólnie dojrzałym umysłem co w młodości opóźnionem zostało.— Nasze życie towarzyskie, nasza wspólna praca będą dla nich przykładem i moralną podstawą dla młodszych, a każda lepsza kobieta w tém zajęciu więcéj znajdzie zadowolenia, niż w powierzchownych rozrywkach tak zwanéj towarzyskości. W większych miastach gdzie więcéj jest umysłowych i materjalnych środków pomocniczych, powinny wyniknąć z życia towarzyskiego zakłady dla kształcenia żeńskiéj młodzieży do przyszłego powołania.

(Ciąg dal. n.)

Łza i kwiatek.

Posmutniał jasny wieczór niepogodą,
I piersi tęskném przywital marzeniem,
Ubiegłe lata wstały z niéj wspomnieniem —
I zadymiły smutkiem duszę młodą.

Smutno mi było, żem tak sam na świecie,
Że tyle jasnych gwiazdek nocną dobą,
Że takie śliczne bożym światem kwiecie,
I każdy gwiazdkę jakąś ma nad sobą —
Każdy u piersi ma kwiatek świeżutki —
A ja sam jeden na téj życia błoni,
I żadne serce ku mnie się nie kłoni —
I tęskność czuję wielką sam — samiutki.

Tak rozmyślałem — i coraz brzemienniéj
Było tych myśli, w izbie coraz ciemniéj,
I w łzawych oczach coraz senniéj, senniéj —
Aż sen ociężał nad mokrą powieką.

I śniło mi się, że nad jakąś rzeką
Widziałem lilję powalaną błotem.
Złamaną burzą — i ta lilja potem,
Gdy zasmucony ratować ją lecę,
W piękne się kształty zmieniła kobiece.

I téj podobną była, com przed laty
Kochał; lecz była blada, osłabiona —
Rosa i brudne na niéj były szaty,
A miała postać téj, co wkrótce skona.
Z jakiémż stęsknieniem, z jaką duszą radą
Do méj ją piersi tuliłem z miłością —
A ona na dół schyliła twarz bladą,
Rękami swemi mą szyję oblekła:

„To ty? pamiętasz jeszcze o mnie“? rzekła.
I czyż mogłem zapomnieć? pamiętasz Heleniu
Ten ogród i ten wieczór, gdy w balowym stroju
Przybiegłaś za mną zcicha i na mém ramieniu
Kładąc rączkę, zbudziłaś z smutnego spokoju?
Mówiłaś, że nie tańczę, żem tak sposępniały —
Jam odszedł: bo sam jestem Heleno na świecie —
Wtedy zerwałaś z krzaka kwiat jaśminu biały,
I dając mi go rzekłaś: „teraz nie sam przecie“.
Wtedy księżyc, pamiętam, wyjrzał z za obłoku
I oświecił twe lica i twój miły datek,
I widziałem łzy wielkie, co ci drżały w oku —
Czyż cię mogłem zapomnieć za te łzy, ten kwiatek?
A choć kwiat potem usechł — jam go łzami świeżył.

Choć potém byłaś zimną, jam w twą łzę uwierzył.
I zapomnieć nie mogłem ciebie do ostatka —
Dla téj łezki błyszczącéj i dla tego kwiatka.

Skończyłem — ona boleśnie westchnęła,
I łamiąc ręce poczęła się skarżyć:
„O jakbym chętnie teraz żyć pragnęła,
Mogąc szczęśliwą być i szczęściem darzyć —
A umrzeć trzeba! — Lecz słuchaj mnie miły!
Jeżeli wolno zmarłym z za mogiły
Powracać do tych, których ukochali —
To ile razy duch twój się pożali,
Ja przyjdę cieszyć cię, niosąc łzy, kwiecie.
Gdy ci samemu będzie źle na świecie,
To westchnij za mną — przyjdę, jak przed laty,
Z natchnień i złotych marzeń mając szaty,
Niemi otulę cię, zakryję niemi
Wszystko, co smucić może cię na ziemi —
I już nie będziesz nigdy sam“.

Od snu onego, nie śmiejcie się ze mnie,
Ja ukochałem samotność, noc ciemną,
I wierzę wtedy, że ona jest ze mną.

M. B.

„Odpuść nam jako i my odpuszczamy“.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Zniknięcie ojca zaniepokoiło nieco syna; gdy mu doniesiono, że starszy pan od kilku dni już nie pokazał się we dworze. August pobladł i zmienił się. Wstał niespokojny i poszedł do biurka, szybko otworzył boczną szufladę, przerzucił kilka papierów, szukając czegoś pilnie drżącemi rękami. August był pewny, że ojciec wyjął mu potajemnie zapis majątkowy, i wyjechał, by mu wytoczyć proces. Zapis leżał na swojém miejscu nietknięty. To go zastanowiło; nie mógł pojąć, co skłoniło starca do opuszczenia dworu, w którym według zapisu notarjalnego miał mieszkanie i życie zabezpieczone. Zimny ten człowiek nie przypuszczał powodów sercowych, nie domyślał się nawet, że to jego postępowanie wygnało ojca. Może chwilowo przeszła mu ta myśl przez głowę, ale dla własnego spokoju nie chciał w nią uwierzyć — taki powód wydawał mu się zbyt błahym. Poszedł potém do oficyn, kazał sobie otworzyć pokoik ojca i wszedłszy pilnie upatrywał, czy nie znajdzie jakiego listu, lub objaśnienia. Nic nie było. Otworzył szafę — była pełna sukien, nic nie tknięto, nie zabrano, oprócz trochę bielizny. August ruszył ramionami i nazwał ojca dziwakiem. Nie kłopotał się już więcéj, rad nawet w duszy, że nudny i tetryczny starowina nie zawadza mu już w domu. Chodziło mu tylko, by świat nie zrobił z tego skandalu, upozorował więc przed ludźmi nagły wyjazd ojca, mówiąc, że stary sprzykrzywszy sobie wieś, osiadł w Warszawie. Uwierzono i zapomniano o dawnym dziedzicu, który z nikim prawie nie żył. Nowy dziedzic zmienił zupełnie tryb życia. Świetne małżeństwo schlebiało jego próżności, chciał się pochwalić przed światem żoną i majątkiem i prowadził dom otwarty, wystawny.

Żona jego było to stworzenie delikatne, powiewne, wątłe. Pieszczoty, przesadne wygody życia zrobiły, że była wiecznie bladą, niezdrową i znudzoną. Nic nie mogło jéj rozruszać, ożywić, nawet małżeństwo jéj nie nastąpiło w skutek silniejszéj skłonności serca, ale z kaprysu. Znudziły ją zabawy i zajęcia w domu rodziców, zapragnęła zmiany, August właśnie w tę porę bywał u nich i poszła za niego. Było to małżeństwo wcale dobrane, chłodne, grzeczne, światowe. Oboje nie wymagali od siebie czułości, przywiązania — on tego nie potrzebował, a ją to nudziło. Prędzéj zatęskniła za zabawą niż za mężem, nie żądała od niego nic więcéj, tylko, żeby się nie nudziła. On też starał się o to, nie tyle może ze względu na nią, ile z szacunku dla jéj miljonów, od których rodzice wypłacali mu procent. Ogólna żałoba w kraju była nie na rękę znużonej gry-

maśnicy. Jéj chciało się bawić, a tu bawić się nie wolno, lubiła się stroić, a tu za cały strój pozwolono jéj tylko czarną sukienkę. To ją niecierpliwiło. Dla dogodzenia swoim zachceniom, nieraz w swoim buduarze po kilka razy się przebierała, przymierzała jedwabne ciężkie suknie różnych barw, przemieniała co chwila kolczyki i bransolety, posypywała brylantowym proszkiem swoje miękkie, cudne rudawe włosy i tak przystrojona, stawała przed dużém zwierciadłem w salonie, pytała się garderobiany o zdanie, kazała wołać męża, by się go spytać, jak mu się ten, lub ów ubiór podoba — i znowu znudzona, zrzucała wszystko z siebie z pośpiechem, umęczona kładła się na miękkie sofy i narzekała: nudzę się.

Raz wśród takich chwil znudzenia wpadło jéj do głowy, czyby nie lepiéj było wyjechać za granicę. Udzieliła zaraz téj myśli mężowi i postanowiono wyjazd. Niecierpliwie czekała chwili wyjazdu — była pod tym względem jak rozpieszczone dziecko, które gdy się czego naprze, radeby mieć zaraz i nie umie czekać. Przed wyjazdem postanowiła dać wieczór pożegnalny dla znajomych sąsiadów. August przeciwnie radził, aby potajemnie wyjechali, że jedynie w taki sposób będzie mógł teraz opuścić kraj. Pierwszy to raz mąż sprzeciwił się jéj zachceniom, cała jéj słabiutka a kapryśna natura była podrażniona tym oporem — nastąpiły spazmatyczne płacze i nerwowe cierpienia; zepsute dziecko nie chciało słuchać usprawiedliwiań i powodów męża, zatykało przed nim uszy paluszkami, wyrzekało na los swój i groziło, że odjedzie do rodziców. August musiał w końcu zgodzić się na to, co chciała. Wieczór był świetny, bo tak życzyła sobie ona. Kazała umyślnie sprowadzić sobie ubranie z Warszawy, a że nie można było wystąpić w innéj jak w żałobnéj sukni, więc pojedynczość koloru starała się przynajmniéj urozmaicić ozdobami i bogactwem koronek. Sznur prawdziwych pereł lśnił się na jéj białéj, wąziutkiéj szyjce — a brylantowy proszek błyszczał jak rosa we włosach. Była zadowolnioną z tego ubrania, cieszyła się jak dziecko i klaskała w ręce. Przeciwnie August był dziwnie roztargniony i niespokojny, wązkie usta jego drżały febrycznie. Żona nie uważała tego — ją dzisiaj zajmował tylko strój i wieczór.

Gości zjechało wiele — rozmowa, fortepian, śpiew, wypełniał program wieczoru.

Panowie grali w karty w przybocznym pokoju. August chodził między nimi z przymuszonym uśmiechem na twarzy. Przybył jeszcze jeden gość, Warszawiak, bawiący od paru miesięcy w téj okolicy. Gdy go pan domu ujrzał, pobladł; nie wyszedł ku niemu na powitanie, ale skręcił do drugiego pokoju. Widocznie coś było między tymi dwoma ludźmi; przybyły szukał oczami gospodarza, a ten starał się go unikać. Wreszcie udało się przybyłemu zbliżyć się do Augusta na przejściu z salonu do przedpokoju, wziął go za rękę i odprowadził pod okno.

— Auguście, co to ma znaczyć? spytał.

— Z czém? odparł gospodarz zmięszany.

— Ty wyjeżdżasz — opuszczasz nas? A twoja przysięga?

— I ty wierzysz temu?

— Wszak to wieczór pożegnalny?

— Dla zadowolnienia żony, która uparła się jechać. Łudzę ją, zgadzając się pozornie, by nie być zmuszonym powiedzieć jéj prawdę.

Pytający utopił badawcze spojrzenie w Auguście, który nie mogąc znieść tego wzroku, mięszał się.

— Pamiętaj Auguście — rzekł przybyły — że i konspiracja ma swoich szpiegów, którzy śledzą, i swój trybunał, który karze zdrajców. A twój wyjazd nie byłby teraz niczem inném tylko zdradą.

— Straszysz mnie jak dziecko a niezasłużenie — mówił August drżący i blady. Ale daruj, że cię teraz zostawię samego — tyle gości....

— Czekaj jeszcze chwilę. Nie byłeś na ostatniém zebraniu, wszyscy dziwili się temu. Chcę wierzyć, że ważny powód wstrzymał cię. Teraz każda chwila jest drogą. Śledzą nas już. Powstanie ma wybuchnąć za tydzień. Na dwa dni przed tém mamy się ostatecznie zgromadzić u **B.**

— Będę, będę — rzekł August z pośpiechem i wyrwawszy się z rąk przybyłego, wszedł między gości.

Téj saméj nocy po odjeździe gości, August zawiadomił żonę, że dla załatwienia swoich interesów musi jutro niezwłocznie wyjechać do Warszawy, a pojutrze będzie na nią czekał przy granicy pruskiéj. Niezwłocznie służący dostał rozkaz pakowania rzeczy do drogi.

Tu musimy kilku słowami wytłomaczyć to niejasne i zagadkowe nieco postępowanie Augusta, jego tajemną rozmowę z nieznajomym i przyspieszony wyjazd.

Jak wiemy było to w epoce, kiedy sieć organizacyi narodowéj ogarniała kraj cały. I w Rawskiém utworzyło się kółko, przygotowywujące powstanie. Augusta wciągnięto do niego. Augustowi sprawa ta była zupełnie obcą i obojętną, bo nie widział w niéj korzyści — a że naruszała jego spokój, że wymagała od niego ofiar, więc jéj nawet z zasady był wstrętnym. Wszedłszy jednak w kółko ludzi wcale odmiennych pojęć, taił się ze swojém zdaniem, bał się usunąć od udziału, bo mu chodziło o opinją tych ludzi. Zachował się więc czysto biernie, mając nadzieję a nawet pewność, że się to skończy na niczém. Szybki wzrost organizacyi przestraszył go, widział, że zaszedł za daleko, chciał się wycofać, ale nie było sposobu. Projekt żony względem wyjazdu za granicę był mu wcale na rękę, przyjął go i chciał tajemnie umknąć. Kaprys żony udaremnił to. Wieczór pożegnalny zrobił głośnym

jego wyjazd. Słyszeliśmy, jak przed nieznajomym usprawiedliwiał się z tego — a równocześnie zmienił plan, bo, ponieważ był przekonany, że go będą śledzić, postanowił wyjechać dniem wprzódy za granicę, oszukać spiskowych i własne sumienie związane przysięgą. Przed żoną upozorował swój wyjazd interesami w Warszawie. Tak urządziwszy wszystko, kazał przywołać rządcę i dawał mu potrzebne rozkazy i instrukcyje — a w końcu rzekł:

— Każ pan zajeżdżać dla mnie.

Rządca wyszedł — August udał się do pokojów żony, by się z nią pożegnać.

Przed gankiem zaturkotał powóz.

— Już zajechał — rzekł August i wziąwszy torbę podróżną, wyszedł na ganek.

Przed gankiem zamiast powozu stała bryczka — a z niéj wysiadali żandarmi.

August struchlał i osłupiał.

VII.

Aresztowanie Augusta nastąpiło w skutek odkrycia spisku — rząd trafił na ślad organizacyi i rozpoczęły się aresztowania w okolicy. Żona Augusta na wiadomość o jego uwięzieniu, dostała konwulsyjnego napadu. Nie wiedząc nic o spisku, miała nadzieję, że wkrótce go uwolnią. Pojechała zatém do jenerała starać się o to. Nie tyle może szło jéj o męża, ile o wyjazd za granicę, który z tego powodu odwlókł się na jakiś czas. Dopiero słowa jenerała rozjaśniły jéj tę przepaść, w jakiéj pogrążył się jéj mąż.

— Więc nie ma żadnéj dla niego nadziei? spytała przestraszona.

Jenerał ruszył ramionami.

Jeżeli wyzna wszystko — rzekł po chwili — w takim razie może spodziewać się łaskawego wyroku.

Do tego nie trzeba było wcale namawiać Augusta. Człowiek, który nie z patrjotyzmu, nie z przejęcia się sprawą narodową przystąpił do organizacyi, ale jedynie z obawy wzgardy swych współobywateli — nie widział wcale potrzeby poświęcić się dla drugich, zwłaszcza, że odkrycie spisku dawało mu nadzieję ocalenia siebie samego. Zaraz więc przy pierwszém śledztwie odkrył wszystko, wymienił nazwiska spiskowych nawet takich, o których rząd nie wiedział — w skutek czego nastąpiły nowe aresztowania. Sędziowie nadzieją ocalenia skłaniali go do coraz szczegółowszych wyznań. Po ukończoném śledztwie odetchnął — zdawało mu się, że już koniec wszystkiego, czekał tylko wyroku, a zarazem swego uwolnienia. Tymczasem cięższe daleko czekało go przejście. Ponieważ zeznania reszty więźniów przeczyły zupełnie jego zeznaniom, nastąpiła więc konfrontacja. August musiał oko w oko spotykać się ze swoimi wspólnikami, powtarzać swoje zeznania przeciw nim, znosić ich pogardliwe spojrzenia, piętnujące go hańbą, zdobywać się na bezczelność wobec ich obelg. Była to męka straszna nawet dla takiego człowieka jak August. Nieraz wróciwszy do swojéj celki więziennéj z rozpaloném od wstydu czołem, potępiał i lżył sam siebie, brzydził się, że tak upadł nizko, że się tak spodlił. Ale wnet zimny rozsądek brał górę i usprawiedliwiał się sam przed sobą mówiąc:

— Ha, darmo — pierwsza miłość od siebie.

Wreszcie ukończył się proces — nieudane początki powstania wpłynęły bardzo niekorzystnie na los więźniów. Wezwano ich do wyroku. August raz jeszcze musiał stawać obok tych, których wydał, znosić w upokorzeniu ich pogardliwe spojrzenia i czekał wyroku ze spuszczonemi w dół oczami. Weszli sędziowie i przeczytano wyrok:

„Sześciu spiskowych skazanych było na karę śmierci przez powieszenie; trzech w Sybir do katorgi na całe życie — August w roty aresztanckie.

Augustowi krew uderzyła do głowy, wyrok ten jak piorun zagrzmiał w jego uszach. On spodziewał się być wolny, czekał niecierpliwie téj wolności, którą sobie kupił krwią swych braci, hańbą imienia swojego, sędziowie łudzili go ciągle tą nadzieją — i teraz nagle odjęto mu tę nadzieję. Pociemniało mu w oczach, zachwiał się i wpółomdlałego odprowadzono do więzienia. Tu zapadł w stan otrętwienia, osłupienia — gadał od rzeczy, a oczy wytrzeszczone z przerażeniem patrzały przed siebie. Taki stan trwał dni kilka. Potém nastąpiły gwałtowne sceny rozpaczy i niepokoju. Latał po celce, chwytał się krat, jakby je próbował wyłamać; bił głową o mur, płakał, rwał włosy. Była to rozpacz zwierzęcia zamkniętego w klatkę. Nie mógł się oswoić z tą myślą, że mu trzeba będzie wyrzec się dostatków, wygód, swobody i żyć tak nędznie, gdzieś daleko i Bóg wie jak długo. Jednego dnia chodząc tak szybkim krokiem po izbie, zbliżył się ku oknu, spojrzał na dziedziniec i zadrżał. Na dziedzińcu stawiano szubienice. Odskoczył od okna, i schował się w kąt przed tym widokiem. Łoskot siekier obijał się o sklepienia jego więzienia; — zatkał uszy rękami, by tego nie słyszeć. W godzinę potém zawarczały bębny — to skazanych wyprowadzono na śmierć. Wśród gwaru żołnierzy i bicia bębnów dał się słyszeć potężny, uroczysty, śpiew więźniów: „*Boże, coś Polskę*“. August rzucił się na ceglaną podłogę, płakał a raczéj ryczał z boleści i żalu i śpiewał wraz z więźniami. Potem nastała uroczysta cisza, Augusta przeszedł mróz po ciele — w téj chwili umierali ci, których on zdradził. Tego dnia nie zbliżał się do okna, noc miał niespokojną, pełną męczących snów i widziadeł.

Następnego dnia dano mu znać, że żona chce się z nim widzieć. Była to łaska jenerała, równie jak łaską była jego wysełka do rot aresztanckich. August podniósł się z posłania i poszedł do sali sądowéj,

eskortowany przez czterech żołnierzy. Kiedy wszedł, żona jego rozmawiała z jenerałem, ujrzawszy go, była więcéj przestraszona, niż smutna.

— Ach, jakiś ty brudny, jakiś ty brudny — rzekła zbliżając się do niego.

August przygryzł wargi cierpko i podał jéj rękę. Wzięła ją ostrożnie we dwa paluszki.

— I jakże ci tutaj? spytała po chwili.

Mąż uśmiechnął się boleśnie i rzekł:

— Dobrze.

— Widzisz, to jenerałowi masz zawdzięczyć. Dostałeś najlżejszy wyrok, jaki można było. A kiedyś może nastąpić jeszcze ułaskawienie. Wszak prawda, generale?

— Łaska carska jest nieograniczona — rzekł jenerał.

Rozmowa małżonków jakoś nie szła, urywała się co chwila.

— Czy nie potrzeba ci czego? spytała znowu.

On potrzebował teraz pociechy, słów ciepłych, serdecznych — a tych ona mu dać nie mogła. Odpowiedział więc:

— Nic mi nie potrzeba. A ty zdrowa teraz?

— Nie bardzo; totéż wyjeżdżam jutro do Włoch z matką.

Augusta te słowa zakłóły w samo serce. Poznał, że je ma w piersiach — po boleści.

Żona naprożno szukała po głowie, coby mu jeszcze powiedzieć, nie znalazłszy nic, podała mu rękę, by zakończyć tę męczącą dla niéj scenę i rzekła:

— No, bądź zdrów, a pisuj do nas. *A revoir.*

Przyłożyla batystową chusteczkę do oczów i odwróciła się. Na dany znak przez jenerała wyprowadzono więźnia.

Tak rozstali się ci, którzy może nigdy już nie zejdą się z sobą.

VIII.

W Warszawie było cicho i grobowo — jakby w niéj ducha nie było. Duch jéj teraz błąkał się wśród Kampinowskich lasów i trzęsawisk — i oddychał chwilą wolności za lata ucisku. Warszawa nasłuchiwała w uroczystém milczeniu echa z tamtych stron. Wśród tego wyczekiwania i wysokiego nastroju ludzi — staruszek z ulicy Mostowéj zachował się zupełnie zimno i obojętnie. On znienawidził ludzi, cóż go więc mogły obchodzić ich pragnienia, boleści, męki i nadzieje. Odosobnił się zupełnie i żył jak ślimak w skorupie, nie przywiązując się do niczego, nie robiąc nic dla nikogo, do tego stopnia, że kiedy raz stolarka zakołatała do jego drzwi, prosząc z płaczem, by leciał po doktora, bo jéj dziecko bez ratunku nie dożyje rana — zacięty staruszek ofuknął ją mówiąc:

— Raz już powiedziałem acani, żebyś mi dała spokój — i zatrzasnął drzwi przed nią.

— O! tyś nigdy nie musiał mieć dzieci — krzyknęła w rozpaczy kobieta.

Staruszek uśmiechnął się gorzko i chłodno na te słowa, machnął ręką i odszedł od drzwi. Na środku izdebki stanął, zdawał się wahać i namyślać, w sercu jego odbywała się walka litości z zaciętością, w końcu szepnął z naciskiem:

— Nie, dla nikogo litości — nikt jéj nie miał dla mnie.

I położył się spać. Czy usnął — nie wiem.

Żyjąc tak samotnie wśród czterech ścian swojéj izdebki, zrobił raz przypadkiem ciekawe odkrycie. Gdy się jednego wieczora zabierał już do spoczynku, z kieszeni od kamizelki wyleciało mu kilka dziesiątek i zatoczyły się w różne strony po izbie; niektóre wpadły w szpary podłogi. Staruszek chcąc je dostać, wsunął w szparę scyzoryk; wtedy zauważył, że środkowa deska podniosła się nieco. Odważył ją więc zupełnie i ze zdumieniem zobaczył pod sobą ciemną norę, niby piwniczkę, z któréj szło niemiłe, wilgotne zimno. Przysunął świecę bliżéj otworu i rozpoznał na dnie jakieś papiery poczerniałe już nieco od wilgoci i coś jeszcze czego rozeznać nie mógł. Spuścił więc stołek do lochu, zeszedł po nim i rozpoczął poszukiwania. Podniósł z ziemi jakąś blachę powalaną czernidłem, potém parę sztabek ołowiu, przyjrzał się im uważnie i poznał, że to były czcionki drukarskie zardzewiałe. Zbutwiałe papiery były odezwami rewolucyjnemi. Domyślił się, że tu musiał mieszkać przed nim jakiś członek podziemnego Rządu i urządził tę schówkę, że potém albo go aresztowano, albo zmuszony był uciekać i nie wrócił więcéj. Staruszek wrzucił napowrót blachę, czcionki i papiery do ciemnego otworu; trwożne, niemiłe przeszło go uczucie; wśród nocy ta ciemna jama robiła na nim niemiłe wrażenie, była podobną do otwartego grobu. Zląkł się tego i zakrył otwór deską i nie odważył się więcéj zaglądać tam.

Niedługo jednak potém dziwny zbieg okoliczności dał mu poznać właściciela tych tajemnic podziemnych i poprzedniego mieszkańca izdebki. Kiedy wracał po południu w niedzielę ze spaceru do siebie i otwierał drzwi, usłyszał za sobą nagle, że ktoś szybko biegł po schódkach. Jakiś młody człowiek, w pomiętém ubraniu, zadyszany, wpadł na poddasze, wpadł do izdebki równo z nim i dając mu ręką znak, aby milczał, podważył deskę, wsunął się szybko do otworu i zamknął za sobą deskę, jak wieko. Scena ta odbyła się tak niespodziewanie, że staruszek osłupiał i znieruchomiał z podziwu. Jeszcze nie miał czasu zebrać myśli, kiedy we drzwiach pojawił się komisarz z policjantami. Staruszek spojrzał i zbladł, nogi się pod nim zatrzęsły — w komisarzu poznał swojego wroga — Juljana. Choć

tyle lat go nie widział, poznał go jednak po kędzierzawych włosach, teraz już siwizną przypruszonych, po brodawce na lewym policzku pod okiem. Na ten widok zatrząsł się cały z nienawiści. Juljan widać go nie poznał, (choroba i nieszczęścia zmieniły go i wcześnie zrobiły starym), bo rozglądnąwszy się tylko po pustych ścianach izdebki, zajrzawszy w kąty i zadawszy kilka pytań, poszedł do dalszych pomieszkań czynić poszukiwania. Nie znalazł jednak tego, którego szukał. Domyślał się, że dymnikiem mógł przejść na sąsiednie domy, pospiesznie więc opuścił ten domek.

Po jego odejściu starzec długo jeszcze stał na tém miejscu, na którém go zastała rewizja, stał jakby przybity do podłogi, cała przeszłość zmartwychwstała nagle przed nim i przypominała mu się żywo.

— Więc to on? — powiedział do siebie z przerażeniem i uczucie zemsty zadygotało w jego piersiach.

Kiedy w domku się już uspokoiło wszystko i niebezpieczeństwo minęło, staruszek podniósł deskę i powiedział do nieznajomego:

— Możesz pan wyjść.

Młody człowiek wyskoczył z pod podłogi, otrzepał ubranie z wilgotnéj ziemi, otarł zimny pot z czoła i odetchnąwszy, rzekł:

— Przepraszam pana mocno, że go tak zaniepokoiłem. Ale cóż było robić? Ścigany, uciekłem jak mysz do znajoméj dziury.

— Więc to pan urządziłeś tę kryjówkę?

— Pan o niéj wiedziałeś?

— Odkryłem przypadkiem.

— Robiąc ją nie myślałem, że mi się kiedyś tak przysłuży, że mnie ocali od śmierci.

Staruszek uśmiechnął się ironicznie z tego wyrażenia.

— Nie przesadzam. Gdyby mnie schwytano — czekała mnie szubienica. W kieszeni miałem sztylet i rozkaz „rządu narodowego“ zabicia tego łotra, który tylu naszych unieszczęśliwił.

— Zabicia go? — powtórzył jak echo staruszek przeciągle.

— Panu winienem ocalenie; dlatego jestem z panem szczéry, wiem, że mnie pan nie zdradzisz, kiedyś mnie ocalił.

Staruszek nie słyszał tych słów, nie uważał na nie. W ponurém zamyśleniu powtórzył jeszcze raz:

— Zabić go!

— To go nie minie.

Wypłowiałe i mdłe oczy starca roziskrzyły się na te słowa, uchwycił nieznajomego gorączkowo za rękę i zawołał:

— Nie minie, powiadasz?

— Wszak jest na to rozkaz.

— I ty go sam chcesz zabić? spytał tonąc w jakichś myślach.

— Ja sam.

Staruszkowi zasychało w gardle, z trudnością przełknął ślinę:

— Słuchaj mnie pan — rzekł stłumionym, ochrypłym głosem. — Pozwól, niech ja go zabiję. — Tyś młody, ciebie szkoda, ty się nie możesz narażać. Mnie już wszystko jedno, mnie się nie wiele należy.

Młody spojrzał niedowierzająco na wątłą postać staruszka i rzekł:

— Nie obliczasz się pan ze siłami.

— Znajdę, znajdę siłę — szeptał starzec.

— W takim razie we dwóch działać będziemy, Mam plan; jutro zaraz trzeba się wziąść do wykonania, kiedy najmniéj się spodziewa. Czekaj mnie pan rano w ogrodzie Saskim o godzinie 9téj. Tam się ułożymy. To rzekłszy, zabierał się do wyjścia.

— Czekaj pan, wyjrzę pierwéj, czy kto nie śledzi wyjścia.

Wyszedł przed furtkę, popatrzył uważnie w jednę i w drugą stronę — na ulicy było pusto, głucho. Tylko jakaś kobieta zbliżała się w kierunku ku drzwiom, pod któremi stał. Wszedł do sieni, by się z nią nie spotkać.

— Nie ma nikogo, możesz pan wyjść bezpiecznie — rzekł wracając do izby.

— Cicho, ktoś idzie po schódkach, słychać skrzypienie. —

— To stolarka z przeciwka.

— To ta biedna? — Mąż jéj zginął przy pierwszém starciu.

Starcowi zaciężyła ta wiadomość na sercu, chciał ją zagłuszyć, zagadać.

— Nie trać pan czasu — mówił, nagląc nieznajomego do wyjścia.

Po jego odejściu zamykając drzwi staruszek, zastanowił się, wzrok nieruchomo zatrzymał na klamce i stał tak długo, utonąwszy gdzieś myślami.

— Ha — rzekł, budząc się z zamyślenia — stało się! Nie szukałem go; ale kiedy mi sam wlazł w oczy — nie przebaczę!

(Ciąg d. n.)

Germaine Staël.

(ŻYCIORYS.)

(Ciąg dalszy.)

Sztuk pięknych nie poddaje p. Staël prawu doskonalenia się, jako odnoszących się szczególnie do wyobrażeń, niemniéj jednak wierzy w postęp nadewszystko w umiejętnościach, w filozofii, nawet w historyi, a również pod pewnym względem w poezyi. Ta bowiem odnosi się najbezpośredniéj do myśli i postępuje więc z rozwojem myśli i przypuszcza dzisiaj głębszy ton marzenia, smutku i rozbiór namiętności nieznany starożytnym. — Zapatrywania na literaturę grecką i łacińską są tam niedosta-

teczne; ładnie za to przeprowadzony wpływ idei chrześciańskiéj; plan dzieła nie jest ściśle nakreślony, lecz w każdym szczególe dużo siły i oryginalności.

Potrzeba ciągłego doskonalenia siebie i instytucyj, wypowiedziana w tém dziele, wywołała zaciętą walkę imperjalistów, krytyki urzędowéj, która cesarski rząd jako szczyt doskonałości przedstawiała. Reakcja monarchiczna, religijna i literacka z r. 1800 rozwinęła się na całéj linii przeciw systemowi badania i postępowi społecznemu, inaugurowanemu przez wiek XVIII. i rewolucją; w literaturze pojawili się znowu dawni klasycy, dzienniki pełne były artykułów przeciw p. Staël. Tę córkę rewolucyi, która się karmiła filozofią XVIII. wieku, traktowała z pogardą panowanie Ludwika XIV. i marzyła o ideale ustawy republikańskiéj, uważali ówcześni ludzie nadający wówczas ton, oczywiście jako nieprzyjaciołkę. Było to coś podobnego jak u nas walka klasyków z romantykami — po jednéj stronie konserwatyści tak w polityce, jak literaturze i języku; po drugiéj postępowi, otwierający nowe drogi.

Obrońcy wyłącznego gustu, przepisanych form i wyrażeń mowy grają w literaturze rolę torysów; obstają za sprawą, która codzień niszczeje. Ich rzemiosłem jest: utrzymać i wstrzymać; po każdém popchnięciu naprzód, w którém nowe sobie światło zapala, oni chcą zamykać drogę, podnoszą barjery, które niebawem nowe talenta przełamią. Przedtém Corneillowi zarzucano zrazu nieprawidłowość, póżniéj wielbiciele Corneilla mówili o Racinie, że jest czczy i miękki; o Wolterze cedzono przez zęby, że sobie jest dowcipnym libertynem.... Teraz protestowano znowu przeciw p. Staël i Chateaubriandowi, następnie przeciw Lamartinowi — i tak zawsze czepiają się konserwatyści tych, których czas minął, aby mieć z nich broń przeciw tym, którzy idą.

Chateaubriand, młody wówczas autor dzieł: „Piękności moralne i poetyczne religii chrześciańskiéj“, „Geniusz chrześciaństwa“, ogłosił krytyczny list o p. Staël, w którym zarzuca jéj, że religią i uniesienia serca poświęca rozumowi, dowodzeniu.... „Gdybym miał zaszczyt znać ją (pisze on), powiedziałbym jéj: Jesteś pani niezaprzeczenie kobietą wyższą, głowa dobra, imaginacja pełna wdzięku; sposób wyrażania często świetny i podniosły.... Lecz mimo tych korzyści dziełu pani daleko do tego, czém mogło się stać. Styl monotonny, bez ruchu, zbyt dużo przymieszek metafizycznych. Sofistyczność myśli odpycha, erudycja niezadawalnia, myśl krzywdzi serce.... Talent pani dopiero na pół rozwinięty — filozofia krępuje. Tyle co do sławy. Dodałbym potém: Pani nie zdajesz się być szczęśliwą; skarżysz się pani nieraz na brak serc, któreby cię pojmowały. Są bowiem pewne dusze, które szukają napróżno w naturze dusz, z któremi mogłyby się zjednoczyć. Lecz jakimże sposobem może filozofia zapełnić próżnią dni twoich? Czyż można próżnią zasypać próżnią?“...

List ten dał powód do związku między temi dwoma geniuszami, których imiona i sława stały się nieodłączne od siebie. Niemniéj jednak pole ich działania pozostało odrębne i różne. Są to jakby duże skały po dwóch brzegach, pod któremi walczą dwa obozy. Lecz dzisiaj w perspektywicznem oddaleniu czasów one się łączą prawie, one się stają podwójną kolumną triumfalną u wejścia naszego wieku.

Obok różnic usposobienia i maniery artystycznej, mają te dwie postacie i wiele podobieństwa: oboje miłują wolność, oburzają się na tyranją, zdolni do poczucia wielkości przeznaczeń ludu, nieodprzysięgając się przytém wspomnień i skłonności arystokratycznych. „Ja byłam zawsze jednaką, mówiła p. Staël do niego w jego ostatniéj chorobie, żywą i smutną; kochałam Boga, mojego ojca i wolność“.

Lecz jak zrazu filozofia, tak za Restauracyi rozdzieliła ich polityka. Aż dopiero pani Rècamier, która pierwszy raz spotkała Chateaubrianda u pani Staël w r. 1801, a drugi raz również u niéj w r. 1814, stała się węzłem sympatycznym pomiędzy niemi. Związek geniuszów tych, więcéj różnych jak przeciwnych, był odtąd nieprzerwany. Te związki — niby rywali — jak Goethe i Szyller, Walter-Scott i Byron, Chateaubriand i pani de Staël, Słowacki i Krasiński, są szczytem naszego wieku.

II.

Od czasu ogłoszenia dzieła „O Literaturze“, zaszła w pani Staël wielka, poważna i długotrwała przemiana. W usposobieniu poprzedniém, przeważnie uczuciowém, w jakiemeśmy ją widzieli, uważała ona literaturę jedynie jako organ dla wrażeń, jako wyziew boleści. Rozpaczała, żaliła się na potwarze, od stoicyzmu przechodziła do wymownych lamentacyj, chciała kochać, zdawało się jéj, że umiera itd. Lecz spostrzegła niebawem, że na takie cierpienia nie umiera się: że zdolności myśli, że potęgi duszy wzrastają boleścią; że ona nigdy nie będzie kochaną tak, jak kochała; że jednak potrzeba wytknąć sobie pewien szeroki ale stały kierunek dla życia. Postanowiła więc nie upadać, ale rozwinąć w całéj pełni swoje zdolności i talenta: „Podnieśmy się pod ciężarem istnienia“. Odtąd też dzieli się jéj serce między uczucie i sławę. Społeczeństwo zawsze u niéj wiele znaczyło, teraz staje przed Europą i na tym wielkim teatrze zabiera się do długich przedsięwzięć. Jéj piękny okręt zaskoczony przez burzę u wyjścia z portu, długo wstrzymywany u brzegów sentymentalnością, zniecierpliwił się czekaniem i całym żaglem puścił na pełne morze. „Delfina“, „Korynna“, dzieło o Niemczech, były kolejnemi zdobyczami téj świetnéj wyprawy.

W r. 1800 była p. Staël jeszcze młodą, lecz ta młodość wyżéj 30tu lat, nie miała już dla niéj złudzeń, ani przyszłości. Zacieśniony i zmierzchający się horyzont młodości wyjaśniła i rozszerzyła pragnieniem sławy.

W niéj przedłużała się jéj młodość, szła więc naprzód z całą potęgą swoją przez ciąg lat, których się nie liczy. Pojawienie się „Korynny", jest jéj punktem kulminacyjnym. Życie ludzi większych ma swoje święte wzgórze, ma swoje Capitolium. Odtąd reszta uciekającéj młodości, wzrastające prześladowania, przyjaźnie, których większa część zawiodła lub zbladła, nakoniec choroba, wszystko się składa na to, że potęgując ciągle swój talent, majestatyczna i uwieńczona wstępowała w lata ponure. Zwłaszcza od r. 1811 spostrzegamy w niéj skupienie religijne, boleść już dojrzałą, siłę wytrwałą, i duszę, gwałtowną dotąd jak ocean — poddającą się jak ocean i wracającą do zwykłego łożyska. A na końcu tego triumfalnego pochodu widzimy krzyż. Były to jednak jeszcze czasy pełnéj działalności.

Romans „Delfina" pojawił się w r. 180 . Książka ta zrobiła ogromne wrażenie w społeczeństwie ówczesném, egzaltowaném przez polityczne przemiany, przez wszystkie starcia losu, kiedy Chateaubrianda „Geniusz chrześciaństwa" odżywił religijne dysputy, w epoce konkordatu nanowo zawartego, i umiarkowania ustawy o rozwodach. „Korynna", to ideał p. Staël; „Delfina", to rzeczywistość jéj młodości.

Było to dla niéj wzruszające przypomnienie lat czystego uczucia, w chwili, gdy się od niego wyswobodzała; ostatnie, rozdzierające *„adieu"* poza siebie.

Autorka zamierzyła sobie dać nam romans zupełnie naturalny, zastanawiający się nad moralnością, badający namiętności. Czuć tu jednak jeszcze nieco „Nową Heloizę", a wprowadzona forma listowa zaciera naturalność literackim układem. Jest to jedna z niedogodności romansów w listach, że osoby odrazu przemawiają tonem zgodnym z ich charakterem późniejszym. I tak np. od pierwszego listu Matyldy rysuje się już jéj szorstki i suchy charakter, widać zesztywniałą dewotkę. A przecież w życiu, tj. w naturze, wypełniają się te rysy tylko zwolna, nieznacznie i bez ścisłości, przez czyny. Romans, w którym nie znać tego, razi konwencyonalnością. — Zresztą czyż zawsze jest czas i ochota do pisania listu? A tu piszą właśnie w chwilach najważniejszych, najmniéj usposabiających do pisania. Lecz przyznawszy raz ten błąd formy, ileż tam obok tego w „Delfinie" delikatności i ognia, ile rozlanego uczucia, jakie subtelne przenikanie charakterów. W charakterach tych szukano, jak zwykle rzeczywistych, współczesnych osób — lecz oczywiście bohaterką była sama autorka. Przytoczymy tu jeden odnoszący się do tego szczegół. Kiedy „Delfina" w poświęceniu swojém wyczerpawszy wszelkie prośby wobec sędziego, dowiaduje się, że jego dziecko jest chore, wykrzykuje: „jeżeli pan oddasz Leoncia trybunałowi, pańskie dziecko umrze, umrze!" Są to właśnie słowa, które powiedziała pani Staël do jenerała Lemoine, wstawiając się za jednym młodym człowiekiem, który miał być rozstrzelany. Uczucie bowiem ludzkości owładało ją zawsze, i oddawała mu się całkiem. W roku 1802 niespokojna o poetę J. Chenier, zagrożonego proskrypcją, niosła mu pomoc z narażeniem siebie, ofiarując mu schronienie, pieniądze i paszport. „Moje opinie polityczne, są to imiona własne", mówiła o sobie ta kobieta, tj. że pojmowała zasady polityczne przez ludzi, którzy je reprezentowali. Było to okolicznościowe wyrażenie, któremu ona zawsze wierną była, ale niém dowiodła, że litość i sprawiedliwość stoją na czele jéj opinij politycznych.

(Dok. w n. nrze.)

Skon Orła.

Na skały urwisku, w północnéj godzinie
Siadł orzeł zmęczony i stary —
I spojrzał na księżyc, co spokojnie płynie,
I w ciemne pod skałą pieczary —
I w niebo zasiane gwiazdami srebrnemi
Łzawém popatrzył się okiem....
Tam niegdyś swobodny, skrzydły potężnemi,
Z wichrowym się ścigał obłokiem! —

Więc pierze nastrzępił i skrzydła rozwinął...
Lecz próżno natężał swe ramię —
Już młodą swą drogą w niebo nie popłynął
I opadł na skały odłamie! —

Zachmurzył się orzeł niezwykły pogardy,
I szponem się zarył o skały,
I podniósł się dumnie i wzrok rzucił hardy
Na gwiazdy, co w górze błyszczały.

Czas umrzeć! pomyślał — i w oku swém dzielném
Potęgi skrę budzi promienną —
I łono swe szponem rozdziera śmiertelnym
I ciska się w przepaść bezdenną!

Aleksander.

OBRAZY I OBRAZKI
z tatrzańskiéj wycieczki.

(Ciąg dalszy.)

III.

I oto leżę już w góralskiéj izbie, obitéj deskami, jak we wnętrzu czystéj skrzynki — odpoczywając po trudzącéj nieco drodze, na łóżku o wysokich nogach. Nademną na żerdzi wiszą pierzyny i poduszki, świadczące o zamożności gospodarzy — w około ścian na rzeźbionych półkach szklą się talerze i misy, a pod

niemi idą rzędem obrazy święte, jeden obok drugiego. Najbliżéj pieca Adam z Ewą, którym nogi z pod ramion wyrastają, dzielą się kawałkiem czegoś żółtego, co ma wyobrażać jabłko. Daléj skrzywiony okropnie Pan Jezus, koloru zielonkowatego — za nim św. Nepomucyn, w sukience z wosku, daléj jakieś kawałki płótna, różnemi kolorami pomalowanego, co ma oznaczać świętych i święte, jak się tego domyślać trzeba z żółtych kółek kolo cielistéj barwy. I cóż dziwnego, że góral, a w ogóle chłop nasz przywykły patrzeć od dziecieństwa na takie bohomazy, nie może nigdy mieć pojęcia o dobrém malowidle? Nie wina w tém ludu, ale wina księży, którzy nie tylko, że pozwalają na jarmarkach i odpustach sprzedawać takie obrazy, ale je jeszcze święcą. Należałoby czuwać nad etyczną i estetyczną stroną tego ludu, choćby z wdzięczności za te hojne datki i ofiary, jakiemi najbiedniejsi obsypują swego pasterza. Górale mają zamiłowanie do obrazów, idzie tylko o to, aby je wykształcić i poprowadzić. Każdy majętniejszy góral rad stroi swoje mieszkanie w malowidła i snycerskie roboty. Widziałem u majętnego gazdy w Szaflarach obraz na całéj ścianie izby, olejno malowany, przedstawiający zaśnięcie Matki Boskiéj. Jakie tam to malowanie było, każdy się domyśli, zawsze jednak dowodzi to zamiłowania do malarstwa, w obec którego nie jeden szlachcic zarumieniłby się musiał.

Kończąc opis izby, w któréj się znajdowałem, wspomnieć jeszcze muszę o ławach, przybitych w około ścian, będących także charakterystyczną cechą mieszkań góralskich. Dwa okratowane okna, w których stały geranije, słabe światło przepuszczały do izby.

Przed wieczorem wróciła z pola Tereska, domyśliłem się tego po krzyku dzieci, lecących na jéj spotkanie. Była to moja dawna znajoma. Kiedy tu byłem przed kilku latami była to śliczna blondynka, białéj cery i ładnych ząbków, któremi się chwaliła przed ludźmi w uśmiechu. Dziś ledwo ślady zostały téj piękności. Górska, ostra woda, palące słońce i praca zmieniły ją bardzo. Zawołałem ją do izby i wyjąłem z kuferka gościeńce dla niéj i dla dzieci.

— A gdzież matusia? spytałem.

— W ziemi.

— A mąż?

— Juchasi na „Małéj łące“.

— Więc ty sama w chacie?

— A nie, jest tu siostra mojego, ano pierze chusty przy rzece, za brzezinką.

— To i jéj trzeba gościeniec zostawić.

— Je, na co? Czy ona wasza znajoma. Dajcie lepiéj mnie.

Zraziła mnie ta chytrość i chciwość. Owa Tereska, któréj biała twarzyczka nieraz mi się przewijała po głowie, jakże brzydką wydawała mi się teraz z temi niebieskiemi oczami, patrzącemi chciwie na resztę podarunków.

Pod tym względem górale są nie nasyceni. Jak biedny, tak gościnny i poczciwy, ale niechno mu się uda zarobić co, lub dostać, to chciwość jego granic nie ma. W miarę możności zarobku podnosi cenę niesłychanie. I tak zdarzało nam się potém w szałasach niektórych spotykać góralki, które za szklankę mleka po 10 centów żądały. Hojność niektórych podróżnych tak rozbudza w nich chęć nieprawych zysków. Dzieci po drogach czepiają się szat i całują po rękach, byle coś wyłudzić. Jest to brzydki rys w charakterze tutejszego ludu. Uważałem go nieraz, ale najbardziéj uderzył on mnie w Teresce. Zamknąłem kuferek, a że dzieci na darowanych im piszczałkach poczęły przeraźliwe gwizdać melodje, wyszedłem przed chatę na miękką i bujną trawę. Wieczór był piękny — nad zakopańską równinką sterczały wspaniale, blado-fioletowe skały Gewontu, pozlocone u wierzchu promienistemi pasami zachodzącego słońca, podczas gdy stopy skał już czarne cienie otulały. Z rozkoszą przypatrywałem się temu widokowi, przypominały mi się czasy, kiedy pierwszy raz na progu téj saméj chaty siedząc, w taki sam wieczór zachwycałem się tym widokiem. Oczy moje jak orły goniły po innych szczytach, witały je i przypominały sobie ich nazwy. Od zachodu „Pyszna“ wychylała łyse czoło z za Czerwonego Wirchu. Po drugiéj stronie Gewontu wyraźnie rysowało się na tle czystego nieba siodełko „Zawratu“ — za którém sterczały piastuny „Morskiego oka“ ku wschodowi, tam gdzie Tatry już się kończyć mają usiadła zadumana, poważna „Łomnica“, patrząc na stożkowaty „Krywań“, który napróżno sprostać jéj usiluje. Miło mi było pomyśleć sobie, że kiedyś stąpałem po tych szczytach, jak po karku ogromnego olbrzyma. Ciemność rozsiadająca się na niebie i na ziemi zwróciła oczy moje z téj wędrówki. Wracając, zatrzymałem się jeszcze z zajęciem na Gewoncie, nad którym stał róg księżyca, jak srebrna łódka, gdy przybije do brzegu.

Wkrótce potem Franka, owa dziewczyna, o któréj mi Tereska mówiła, wróciła z chustami od rzeki. Dzieci wybiegły ku niéj, pokazując podarunki. Spojrzała na mnie i weszła do chaty. Niebawem wyszła ze sierpem za dom na trawę. Była to dziewczyna wysoka, zwinna, żylasta. Płeć mocno ogorzała, prawie cygańska — usta zaciśnięte, a oczy nie duże, błyszczące, miały wyraz ponury i dziki nieco. Mijając Tereskę i jéj dzieci, zachowała się względem nich obojętnie, jakby obca. Od Tereski dowiedziałem się o niéj wiele szczegółów, które były niezwyczajne i smutne. Ojciec jéj był gajowym; dziewczyna dzieckiem jeszcze będąc, zabłąkała się w lesie, cyganie ją znaleźli i wzięli. Kąpali w olszowych liściach i zrobili z niéj cygankę. Ale gdy raz ich banda przeciągała koło chaty gajowego, dziewczyna

poznała miejsce i z płaczem upierała się zostać. Nadszedł ojciec i wydostał ją z rąk cyganichy, która tłukąc ją pięścią, zmuszała do pośpiechu. Została więc w domu; ale wiejskie dziewczęta stroniły od niéj, wołając na nią z obrzydzeniem: czarna cyganka. To ją odstręczyło od ludzi, nie pędziła bydła na pastwiska, ale do lasu i tam sama wałęsała się między drzewami, przypominając sobie zapewne cygańską włóczęgę. Kiedy ojciec jéj umarł, a brat się z Tereską ożenił, ona nie mogąc się ognać biedzie w chacie, sprzedała ją za liche pieniądze i poszła na służbę do wsi Bukowiny. Obok domu jéj gospodarza miał chaty Stasik Bieńka, stary już człowiek; żona jego również była w latach, syn ich zginął na Włoskiéj wojnie. Otóż ci staruszkowie poznawszy Frankę jako pracowitą dziewczynę namawiają, by poszła do nich, prowadziła im gospodarstwo i pielęgnowała ich, a za to po ich śmierci miała odziedziczyć dom i rolę. Ponieważ gospodarstwo Bieńków było zaniedbane, więc Franka całe swoje mienie włożyła na ulepszenia potrzebne. Pracą nad siły dokazała cudów i zagroda Bieńka liczyła się do najporządniejszych ze wsi. Do starego podchodzili ludzie kusząc go, by sprzedał swój statek, a za te pieniądze uczciwie i bez kłopotu żyć może. Stary wachał się, nie miał odwagi zrobić tego; ale odtąd stał się zrzędnym, wymagającym, często łajał i bił nawet dziewczynę, chcąc ją têm zmusić do opuszczenia domu. Franka domyśliła się wszystkiego, ale ani jednêm słowem nie zdradziła swéj obawy, nie poskarżyła się przed nikim, tylko pracowała usilniéj jeszcze, niż przedtêm; tylko twarz jéj nabrała więcéj dzikości i surowego wyrazu. Jednego dnia kiedy umęczona wracała z pola do domu, ujrzała gromadkę ludzi przed chatą starego Bieńka i jego samego lamętującego i klnącego. Gdy się zbliżyła, ludzie odwrócili się ku niéj ze wstrętem i wołali:

— Złodziejka ....

Otworzyła swoje czarne oczy i patrzała niemi nieruchomo na ludzi. Z urwanych wykrzykników i złorzeczeń dowiedziała się, że Stasikowi Bieńce zginęły pieniądze, i mówiono, że ona je ukradła. Następstwem takiego posądzenia było, że ją wygnano z domu, który miał być jéj własnością. Zgarnęła w zawiniątko swoje rzeczy i poszła szukać przytułku u brata. Jak gościnnie ją tutaj przyjęto miałem próbkę, widząc ją tak pracującą i tak poniewieraną.

— Czemu wy jéj tak pracować dajecie? spytałem Tereski, gdyśmy weszli do izby.

— Cie, a za cóżby przy nas siedziała — odpowiedziała całkiem spokojnie i zabrała się do gotowania wieczerzy. Nanieciła ognia na kominie i przystawiła dwa garnki; jeden z mąką, drugi z grulami. Dzieci w koszulach posiadały na przypiecku koło ognia, grzebiąc płomień patykami. Najmłodsze nagie leżało w kołysce wiszącéj na sznurach przyczepionych do belki, którą matka od czasu do czasu huśtała. Najstarsza Kasia usiadła przy mnie, bawiąc się koralikami i śpiewając górskie pieśni, których ją matka uczyła.

— Niech będzie pochwalony... — odezwał się głos w sieni — i drzwi skrzypnęły.

Wszedł nizki, otyły góral, z fajką w ustach, także mój dawny znajomy.

— Witajcie.

— Witajcie z Bogiem i usiadł przy mnie.

Był to Marcin rybak, albo pszczolarz, bo go i tak i tak we wsi nazywano. Mieszkał za rzeką z drugiéj strony — miał małą pasiekę i dom między brzózkami; ale dom dawnéj mody bez okien, jeno z kilkoma otworami w ścianie; na dachu nie bielił się komin i dym drzwiami i owemi otworami wyłaził sobie na dwór; totéż w jego izbie, do któréj się wchodziło przez niezmiernie wysoki próg, było ponuro, czarno jak w kominie.

— A na co góralowi okno? mawiał, gdy mu to przyganiano — czy to ja pisarz, albo dziedzic, żebym potrzebował słonka w izbie. Jak mi tęskno bez niego, to wyjdę na pole, mam go dość. A dym, czy on kominem, czy oknem wylezie — to mu za jednako.

Tak odpowiadał i uparcie stał przy swojêm. Ludzie mówili o nim, że miał gruby pieniądz, a córkę jedynaczkę. Totéż dużo parobków zaglądało jéj w oczy, ale dziewczyna w ojca się wdała, od karczmy stroni, a jeno modli się rada i godzinki całemi dniami śpiewa. Dziewki we wsi nazywały ją: „mniszką“. Stary Marcin także rzadko chodził między ludzi, najczęściéj siedział u pszczół, lub w chacie, albo gdy deszcze zamąciły wodę, wychodził z sakiem na ryby. Nie umiał ani czytać, ani pisać, ale ciekawy był bardzo, co w świecie słychać — i nieraz do późnéj nocy przesiedział ze mną, słuchając mnie pilnie. Dowiedziawszy się o moim przyjeździe, przyszedł mnie przywitać. Opowiadałem staremu o wojnie pruskiéj, która wtedy mocno zajmowała górali, bo mieli w wojsku synów, o których los trwożni byli. Tereska tymczasem nalała na mąkę wrzącéj wody, zamięszała i tę papkę podobną do gliny rozsmarowała na misce, nalała w środek trochę mléka i zwołała dzieci do jadła. Dziwiłem się temu nędznemu pożywieniu, którêm ledwie dwa razy dnia posila się góral i to bardzo umiarkowanie. W tym względzie nie są wcale podobni do włościan mieszkających w dolinach, którzy cebrzyczkami i ogromnemi misami zaspakajają swój apetyt.

Pod koniec wieczerzy weszła Franka do izby. Tereska nałożyła jéj na miskę trochę téj gliniastéj papki i podała, a raczéj rzuciła na ławkę jak się psu rzuca. Żal mi się zrobiło poniewieranéj sieroty, poszedłem do mojéj izby i wyniosłem jéj kawał świątłego chleba, który przywiózłem z Krakowa. Dziewczyna z chciwością go pożerała, co w Teresce taką zazdrość wzbu-

dziło, że się do łez rozpłakała. Zdawało mi się, że patrzę na nasze małe dzieci. Dla załagodzenia sprawy wyniosłem i jéj i dzieciom po kawałku chleba.

— Cóż Franka — spytałem po chwili — możebyś ty rada i obrazek dostać?

— Ja tego nie pytam (nie żądam), bo ja na książce nie znam, toby mi się choć kaj (gdziebądź) zapodział.

— To może wolisz te korale — i pokazałem jéj kilka nitek czerwonych korali.

Roziskrzyły się jéj oczy, z niedowierzaniem spojrzała na mnie, chciała mi z oczów wyczytać, czy rzeczywiście mam chęć jéj dać. A gdym jéj podał, skoczyła jak kot z siedzenia, porwała i wróciwszy na swoje miejsce, poczęła się cieszyć i bawić koralami.

Tereska przysunęła się ku niéj i nuż chwalić.

— Oj, pilnie téż to korole. Będą kosztować ze dwa papierki (reńskie), bez którego krajcara. Ej, śliczne. Mnie toście dali takie płone i dwa sznurki jacy.

— I warta to cyganka, żebyście jéj takie gościeńce dawali — odezwał się Marcin.

Franka spojrzała na niego, jakby go oczami pokłóć chciała i syknęła:

— Faléśniku (fałszywcze), radbyś może, żeby twojéj dziewce się dostały, a sam krajcara nie wydasz, jeno dusisz pod sobą.

Widziałem, że dla paru nitek takowych korali zanosi się na porządną kłótnię. Unikając tego, wyniosłem się do swojéj izby, namówiwszy poprzednio Marcina, aby także poszedł spać. Jakiś czas jeszcze słyszałem swary Franki i Tereski; potém drzwi od pola skrzypnęły, widać Franka poszła spać do szopy — i w domu wszystko ucichło. Ja długo usnąć nie mogłem — wyjąłem z pugilaresu kilka fotografij i zamyśliłem się w osobach, które one przedstawiały. Myśli moje wróciły do Krakowa, błąkały się po pustych ulicach, słysząc tylko echo własnych kroków po kamieniach — patrzały w okna oświecone, czekały z utęsknieniem, czy na tych jasnych szybach jaki cień się nie zarysuje, czy tam kto teraz myśli o mnie — i westchnąłem. . . . Wtem uczułem, że coś dotknęło poręczy mego stołka — odwróciłem się i ujrzałem Frankę. Miała minę wystraszoną, ruchy niespokojne i tajemnicze.

— Co tobie? — spytałem.

— Ja was chciała przestrzedz, cobyście sobie kuferka dobrze pilnowali i zamykali. Bo widzicie, ta moja bratowa, to chytra niewiasta.

Ruszyłem litośnie ramionami na to ostrzeżenie i podejrzliwie spojrzałem na mówiącą.

— Panoczek może myśli, że ja co wziąść chciała — a oczy jéj rozogniły się, gwałtownym ruchem rzuciła się na klęczki i zaczepiając palec na palec, rzekła z pośpiechem: jak Pana Jezusa ukrzyżowanego kocham tak nic. Wyście mnie nie znali, a gościeniec przywieźli, ja wam tego nie zapomnę.

To mówiąc, całowała moją rękę.

— Ależ ja Tereskę znam nie od dzisiaj, moja kochana, to jéj posądzać nie mogę.

— To choć nie przed nią, ale zawsze miejcie się na ostrożności, a drzwi zamykajcie na noc.

— Ale przed kim?

W twarzy jéj widziałem zakłopotanie.

— Bo widzicie, są źli ludzie, którzy....

Nagle urwała, zbladła i zdawała się nasłuchiwać czegoś. Pod oknem, w warzywnym ogródku coś zaszeleściało w liściach. Zbliżyłem się do okienka. Księżyc świecił jasno, pod oknem nie było nikogo; tylko na pognieciony ch grządkach znać było w miękkiej ziemi stopy ludzkie. Odwróciłem się, chcąc spytać Franki, kto mógł poglądać — nie było jéj już w izbie. Cała ta scena wydawała mi się niesłychanie dziwną, jakiś niepokój mnie ogarnął i idąc na spoczynek, zamknąłem drzwi za radą cyganki.

IV.

Na drugi dzień rano przebudziwszy, rozmyślałem jeszcze nad nocnym wypadkiem — słońce i dzień, rozpędziły obawy, przypominałem sobie to wszystko, jak jaki sen gorączkowy, który nas nocą straszy, a z którego się śmiejemy za przebudzeniem. I Franka była spokojną, obojętną — ani spojrzała, ujrzawszy mnie w progu chaty, pozdrowiła krótko i wyszła w pole wieszać chusty. Po chwili wyszła Tereska z ogródka,

— Czyście słyszeli, jak wczoraj pies Walkowy ujadał za rzeką, jakieś cudaki musieli dziadować (włóczyć się) po nocy. O! patrzcie, do krzty mi kapustę starasili.

To obudziło na nowo moje podejrzenie i domysły. Uważałem także na twarzy Franki, gdy wróciła do chaty, jakieś sińce i skaleczenie.

— A tobie co? spytałem, przypatrując się jéj bacznie.

— Uderzyłam się o drzwi — rzekła spokojnie i unikając dalszych pytań, weszła prędko do izby.

— Może mi się zdaje — pomyślałem. Zawsze jednak nie zawadzi być ostrożnym. Zamknąłem więc kuferek i drzwi i wybrałem się na małą wycieczkę.

Koło kościoła połączyłem się z kilku moimi znajomymi, którzy tam mieszkali i razem szliśmy wesoło i ochoczo. Za K o m i n a m i skręciliśmy z drogi, do żlebu ciągnącego się między górami i po godzinnym dobrym marszu weszliśmy na „Małą łąkę“. Tak się nazywa polana, zieleniejąca się u stóp Gewontu i Czerwonego Wirchu. Na około niéj wznosi się amfiteatralnie las z trzech stron — z czwartéj są wyżéj wspomniane góry, środkiem których strumień wyorał sobie szerokie łożysko — między rozwalonemi głazami. Na po-

lanéj porosłéj wysoką trawą i kwiatami stoi kilka szałasów, powiązanych ze sobą ścieszkami, co jak popielate tasiemeczki snują się wśród zieleni. Przed jednym szałasem stała góralka w serdaku podbitym barankami. Ale prawda — toż panie nie wiecie jeszcze, co serdak. Jest to krótki korzuszek bez rękawów, z węgierska wyszywany; coś podobnego do modnych dawnych turkosików. Nie umiano mi wytłomaczyć, zkąd ta nazwa, wolno więc domyślać się. Jabym mniemał, że pochodzi od serduszka, które osłania, lubo jeden z moich towarzyszy utrzymywał, że od podobieństwa do serca, które także ogrzewa; czemubym ja się sprzeciwiał, znając tyle serc zimnych.

— Gdzie tu Jędrek z Zakopanego? pytam dziewczyny w serdaku.

— Na Gewoncie z owcami — odrzekła.

— Więc w drogę panowie!

Droga przykra, bo trzeba się piąć wyschłem łożyskiem rzeczki, po oślizgłych łomach kamieni. Nie prosiłbym was panie na tę przykrą drogę, gdyby nie jedna legienda, która na nas czeka koło Czerwonego wirchu, legienda treści ulubionéj przez was, legienda o miłości. Posłuchajcie. Tam gdzie Czerwony wirch spada prawie prostopadłemi ścianami ku owemu łożysku rzek, którém wchodzimy na górę, mają te ściany w kilku miejscach wcięcia, niby stopnie porosłe płoną trawką i górskiemi zielami. Na taki schód jeden drapał się raz juchas, zawieszając się jak na murze, na prostopadłych ścianach. Miłość go tam gnała. Zostawił we wsi kochankę i córkę bogatego gazdy; rodzice nie chcieli go, ale dziewczyna strzelała za nim oczami. A śliczna to była dziewczyna, choć blada i wymokła; jedno tylko ją trapiło: wielka chorość (choroba), co owego górala mocno martwiło. Wtem dowiedział się od kogoś, że na owych ławach zielonych Czerwonego wirchu rośnie zielę, które leczy tę chorość. Wywiedział się pilnie o kształt, kwiat i liście tego ziela i rychło zapędził owce na polanę, wnet począł szukać lekarstwa. Znalazł je, wydrapawszy się z trudem na jednę ławkę taką. Stanął plecami do przepaści i chciał wyrwać roślinę; ale korzeń głęboko wszedł w skałę i trzymał się silnie; góral oparł się mocno nogami o ziemię, pociągnął z całych sił — i runął w przepaść wraz z zielem. Drugiego dnia znaleziono trupa jego w potoku, z rozkrwawioną głową. Zresztą żadnego znaku śmierci nie było, wyjąwszy pasa skórzanego, który od silnego uderzenia roztrzasł się na dwoje. A dziewczyna? Dziewczyna tymczasem poszła za mąż z woli rodziców i z trwogą oczekiwała powrotu kochanka i jego wyrzutów. Nie wrócił i nie wyrzucał więcéj.

Oto treść góralskiego romansu, który nie koniecznie pochlebne daje zdanie o stałości płci pięknéj. Mój towarzysz utrzymywał, że ta niestałość tylko góralkom jest właściwą, a ja nie ośmielam się przeczyć, przynajmniéj głośno — nie. (Ciąg d. nast.)

Z PRZYRODY.

Len i konopie.

Jednem z pożytecznych zajęć zacnych naszych gospodyń, zamieszkujących okolice, w których uprawiają konopie, jest przysposabianie lnu na wyroby.

Roślina ta, w średniéj i północnéj Europie ma inne zastosowanie, niż na Wschodzie i głębokiém Południu, gdzie wymok z nasienia téjże rośliny używany jest powszechnie za napój odurzający. Nazwisko na Wschodzie takiego napoju „Haszisz“, znane jest i tutaj każdemu. Suszony zaś kwiat téj rośliny używany jest, jak np. w Marokku jako tytoń do palenia w fajce, ma nazwisko „Kief“. Jedna taka króciutka wypalona fajeczka wystarcza, aby w zupełnem odurzeniu wierny wyznawca Proroka zamarzył o czarnych oczkach „Houri“ Machometa, lub o rozkosznych „Alnoi“ objęciach.

Roślina ta już w starożytności znaną była; Homer wspomina, że piękna Helena częstowała Telemaka w domu Menelausa napojem takim, „Nepentes“ zwanym, który dał mu zapomnieć o wszelkich troskach i kłopotach. Nie podaje wszakże Śpiewak, czy Menelaus również w kłopocie swoim, którego sprawcą miał być Paris, uwodziciel niewiast, tegoż używał napoju.

Mówiąc o Homerze, nie zaszkodzi wspomnąć, że napój ten ma także własność wzbudzania homerycznego i spasmatycznego śmiechu — krom tego sprawia ten pożądany skutek, że wznieca w żołnierzach odwagę i pogardę śmierci.

Ma i inne jeszcze a szkodliwe własności ten rodzaj makowca, wszakże nie tak już działa silnie na organizm mieszkańca stref zimnych i umiarkowanych, jak na Wschodzie i Południu, gdzie roślina ta bujniéj zakwita, ale nie posiada za to tak silnych włókien.

U nas ma ona pożyteczniejsze zastosowanie. Wśród żyjących Polek nie potrzeba było marzyć o przyszłego raju mieszkaniach — a za to i sam Jegomość pan małżonek i jego dziatwa i cała czeladź domowa miała po parę łokci domowego płótna. A jeżliby szło o skutek podobny téj roślinie, o któréj powiada p. Endlicher, że (głupią wywołuje wesołość) *Stultam provocat laeticiam*, to pan Szlachcic miał miodek po temu; nie brak mu było i wściekłéj fantazyi. Wszakże p. Radziwił, p. Mikołaj Potocki i cały zastęp innych, nie używali z téj rośliny napoju — a wieleż to niewinnych napłatali figlów, — wieluż to żydów i wieśniaków kazali na lnianych wieszać postronkach!

Lecz wracając do rzeczy. Konopie europejskie *(can-*

nabis sativa) wszędzie prawie są rozpowszechnione; z dalekiéj Rosyi, z Archangielska żegluga zaopatruje się w najlepsze liny i żagle; — u nas w Polsce jeszcze dziś wiejskie gosposie, jak dawniéj małżonki wojewodów, okrywają domowém płótnem swą rodzinę. Jednakże z powodu szkodliwych wpływów odurzających i otrętwiających téj rośliny, powinny gospodynie przy zajmowaniu się lnem pewną zawsze zachować ostrożność.

Z tego to powodu podajemy poniżéj rezultata, jakie stawiła komisja ludzi fachowych, która kierowała licznemi poszukiwaniami nie dawno w Algierze przedsiębranemi.

Komisja ta mając za przedmiot: Płukanie lnu pod względem zdrowia, pod tym względem orzekła treściwie:

1) Płukanie lnu sprawia, że woda, w któréj len płukano, jest niezdrową za napój dla ludzi i zwierząt.

2) Pozostały płyn, w którym moczono len i konopie, truje ryby, choćby płyn ten połączył się w pewnym stosunku z bieżącą wodą.

3) Połączenie tegoż płynu z wodą rzek i stawów, zmniejsza w sposób znaczny ilość wody do zdrowia za napój używanéj.

4) Powstałe przy płukaniu lnu waporowanie, jest wstanie zanieczyścić powietrze. Pod tym względem praca ta w stojących wodach niebezpieczniejszą jest dla powietrza w skutkach, aniżeli przedsiębrana w wodzie bieżącéj. Ta ostatnia zmniejsza, o ile się zdaje, szkodliwy wpływ na powietrze.

5) Nie jest wszakże dowiedzioném, czy pewne choroby zaraźliwe zauważane w okolicach, gdzie zajmują się płukaniem lnu, przez toż właśnie spowodowane były.

6) Choroby nagminne (zaraźliwe) dostrzeżone w tych okolicach, powstać mogły z miejscowych, powietrznych lub innych niekorzystnych wpływów, lecz też zarówno z powodu płukania lnu: trudno dotąd było dowieść, która z tych przyczyn wpłynęła na pewien objaw chorób. Jednakże należy przypuścić, że płukanie lnu w wodzie stojącéj, a nawet w rzecznéj, przyczynia się wielce swym szkodliwym wpływem do zakażenia powietrznego.

7) Dawniejsze prawodawstwo starało się w każdym czasie ochraniać czystość wody od szkody, jaką prowadzi za sobą płukanie lnu, i zmniejszać niebezpieczeństwa, jakie w skutek tego zagrażają zdrowiu ludzkiemu.

KORESPONDENCJE.

Paryż z wystawy.

II.

Historja pracy, od któréj rozpoczniemy, jest to historja cywilizacyi, historja dokonanego postępu. Każdy wiek udoskonala dawne, a przynosi nowe nabytki. Wystawa historyi pracy, zupełna i umiejętnie ułożona, uwidoczniłaby nam, jak cywilizacja w pierwszych dniach ziemi naszéj schodzi z wyżyn Azyi i po jéj bokach rozdziela się w dwa potężne koryta. Jedno z nich idzie ku środkowi stałego lądu na wschód i tam kamienieje niby potok lawy wyrzuconéj z wulkanu. Jest to Egipt, który nam dzisiaj jeszcze piramidami, mumiami (sztuka lekarska), rolnictwem, ruinami olbrzymich miast imponuje. Odpowiada mu zapadła cywilizacja meksykańska, z którą od niedawna dopiero się zapoznajemy, a któréj ślady wystawiła Ameryka w licznych obrazach.

Drugie koryto rozlało się na Europę, nabrało tutaj siły i żywotności, która w XV. wieku z Krzysztofem Kolumbem aż po n o w y ś w i a t sięga.

Ten potok cywilizacyjny zwraca się dzisiaj znowu do swego źródła i zamierzył odżywić zastałe Chiny, Japonią....

Lecz wystawę historyi pracy w tém znaczeniu pierwszy raz dopiero teraz urządzono — nie można tam więc szukać takiéj zupełności. Jedynie dział francuski ułożony jest w porządku, w historyczném następstwie; inne kraje dały tylko okazy pracy ludzkiéj z różnych wieków.

Widzimy najpierw e p o k ę k a m i e n n ą, przed użyciem metali, narzędzia podobne do używanych jeszcze dzisiaj przez Lapończyków i Samojedów. Jest to wiek najoddaleńszy, wojna jest stałym stanem społecznym, wojna przeciw ludziom i zwierzętom: krzemienne dzidy, noże, siekiery porfirowe, szczęki zwierząt przerobione na potworne maczugi, jaką może Kain Abla ugodził. Głównym okazem jest tu jednak postać s ł o n i a - m a m u t a, wyrysowana na słoniowéj kości. Dotąd powątpiewano, czy człowiek był już na świecie współcześnie z temi olbrzymami, którzy dawno już wyginęli — rysunek ten daje stanowcze potwierdzenie.

Druga epoka gallorzymska, już metalowa, m i e d z i a n a; złoto, bronz, odlewy, bizuteryjne ozdoby wodzów, pokoleń i kobiet, przypominające wyroby etruskie, szkła. Widząc tu pieczęcie, odciski na wosku, na glinie, dziwić się trzeba, że jeszcze 10 wieków mija, zanim druk został wynaleziony.

W trzeciéj epoce Franków przeważa już ż e l a z o; są już dyplomy, rękopisma pergaminowe z kolorowemi ozdobami, kościelne sprzęty, które już zapowiadają cechę gotycką w i e k ó w ś r e d n i c h. Tu widzimy najwięcéj ołtarzów, ornatów, konfesyonałów, rycerskie zbroje; drewniana rzeźba, biblie z XIV. i XV. wieku. Wielce zajmującym jest tu posążek na koniu Dziewicy Orleańskiéj, o którym zaręczają, że jest jedynie prawdziwy. — Daléj wiek o d r o d z e n i a, pełen kolorów, fantazyi i kaprysów przynosi mozajkę, szildkret, perłową macicę, mapy, globusy, stal, sztuczne klucze i zamki, księgi bogato oprawne, broń strzelniczą.

Wiek XVII. i XVIII. ma już fajanse, porcelanę, znakomite zwierciadła, fortepiany, skrzypce, arfy, śliczne przędziwa jedwabne i lniane, ogromny zbiór wachlarzy, trzewików i pantofli drewnianych i jedwabnych na korkach, które tak wykrzywiały nogę jak dzisiejsze. Wpada tu w oko zegar z organami i całą orkiestrą złożoną z małp, który doskonale idzie. Mnóstwo tego rodzaju wyrobów automatów okazuje, jak to wynalazki w mechanice, w chemii, zanim do właściwego użytku zastosowane zostaną i naukę naprzód posuną — zrazu tylko do zabawy i figlów służą. Dawniéj wyrabiano różne dziwaczne, cudowne rzeczy — dziś, gdy wynalazki zaraz naukowo są badane, mamy rzeczy wielkie wspaniałością i pożytecznością.

Inne kraje, jak powiedziałem, nie obesłały téj galeryi systematycznemi zbiorami; niemniéj jednak znajdujemy tam wiele charakterystycznych wskazówek. Żuławy obok wzorów okręcików map przedstawiają nam swoje dawne domowe życie w tysiącznych narzędziach, jak również życie municypalne w godłach korporacyj. Hiszpania dała architektoniczne odlewy Alhambry, siodła i zbroje arabskie i w ogóle wzory cywilizacyi i skulptury maurytańskiéj — a jako przypomnienie dawnéj swojéj morskiéj potęgi, starożytne mapy. Szwajcarja wielce ciekawe wzory i zabytki z czasów podwodnych. Wiadomo bowiem, że w głębi wielkich jezior (jak Neufszatelskie), wyławiają całe miasta budowane na palach. Rozwinięte

rzemiosło ciesielskie, świadczy o dosyć znacznéj cywilizacyi tych ludności, które dla bezpieczeństwa, na wodzie budować się musiały. Podobne budowy odnajdują i u nas w Poznańskiém. Obszerne miejsce w téj galeryi zajmuje Anglia, niepodobna jednak wyliczać, boby; wiele rzeczy trzeba powtarzać.

Dziwna rzecz, że Włochy nie nadesłały prawie nic ze starożytności rzymskich i średniowiecznych, z czasów morskiéj potęgi rzeczypospolitych swoich. Widać, że zajęci odrodzeniem i pracą około przyszłości narodowéj, nie mają czasu na archeologią, chociaż u siebie znakomite posiadają muzea.

Ta wystawa archeologiczna przypomina nam naszą, urządzoną kilka lat temu w Krakowie. Nasze zabytki słowiańskie, nasza broń, lite pasy itd zajęłyby kilka sal, gdyby było miejsce dla Polski na wystawie świata. Są tam działy tylko według państw — więc narody często dopiero w różnych miejscach odszukiwać trzeba.

III.

Sztuki piękne zajmują na wystawie naczelne miejsce; idąc od środka, od nich się zaczyna; idąc z zewnątrz, do nich się dochodzi, jako do szczytu wszelkich utworów ludzkich. Oprócz jednéj galeryi wokoło, mają Francja, Bawarja, Szwajcarja osobne pawilony w parku dla obrazów i rzeźby, nadto ogród środkowy, park i główne ulice są ozdobione posągami i grupami z marmuru.

Niema nic fałszywszego, jak te sentymentalne utyskiwania na materjalizm XIX. wieku, te żale, że szał użycia i zysku stał się dzisiejszą religią. Prawda, że dzisiaj umiejętność i ludzie w ogóle nie bawią się w rzeczy n a d p r z y r o d z o n e, w łamigłówki średniowiecznej teologii, albo w mętne mrzonki niemieckiéj filozofii; fabryki i maszyny zajmują dziś pierwsze miejsce, przed wymaganiami giełdy polityka się korzy — ale czegoż to dowodzi? właśnie czegoś wręcz przeciwnego od materjalizmu. Oto duch ludzki stara się wyzwolić z więzów przyrody, bada ją, podgląda, okiełzuje, zaprzęga; ogarnia przestrzeń i czas, ujarzmia ogień i wodę — ułaskawia potęgi i siły, tak jak przed tysiącami lat ułaskawiono zwierzęta A przez to wszystko zmienia się postać społeczeństwa — człowiek przestał być roboczém bydlęciem — siły przyrody pracują za niego — on tylko nadzoruje. Rozszerza się dziedzina wiedzy i władztwa ludzkiego, ciągle nowe zdobycze i ulgi wzmagają i rozszerzają dobrobyt, i nie tylko, że nie tępią moralnéj i umysłowéj strony człowieka, ale owszem w ciągłym ją utrzymują ruchu i napięciu; triumf nad siłami przyrody jest właśnie szkołą dla cywilizacyi i umysłowego rozwoju. Egipskie piramidy i obeliski pochłaniały życie i pracę tysiąca niewolników, a nadto owe ceną ludzkiéj krwi zdobywane cywilizacje starożytne były zamknięte w sobie. Dzisiaj zamierzają już podmorską koleją połączyć Europę z Ameryką; dzisiaj zagadka podróży napowietrznéj jest w przededniu rozwiązania — są to sprawy zapewne większéj wagi jak stawianie grobów dla królów — dokonują ich nie ręce ani barki niewolników, ale duch ludzki. Pan przyrody, a każda zdobycz nowa udziela się zaraz całemu globowi ziemskiemu i przepaść już nie może.

Aby się przekonać, że to jest właściwy charakter tego materjalnego wieku, który się odradza i skrzepia u piersi przyrody po bezużytecznych bezdrożach po jakich ludzkość wodziły czcze wymysły teologicznych lub filozoficznych mózgownic — aby się o tém przekonać, dosyć spojrzeć, jakiém uszanowaniem otaczają wszystkie narody utwory sztuk pięknych Turkot maszynowych kół ucicha kiedy zagrzmią w kościołach olbrzymie nowe oratorja, albo kiedy się odbywa międzynarodowy muzyczny turniej. Zdawało się, że średniowieczni włoscy i hiszpańscy mistrze wyczerpnęli już wszelkie religijne natchnienie — a oto Ary Leffer, De la Croix... odtwarzają religijne malarstwo w zupełnie nowéj postaci. Historja staje przed nami już nawet nie w pojedyńczych scenach lub potaciach, ale całemi epokami na płótnach Kaulbacha, Matejki....

Oznaką najwyższéj czci narodowéj dla zasłużonych ludzi jest zawsze posąg. Klasyczna ziemia włoska przemawia jak dawniéj marmurami, a gdy trzeba, układa je w kwiaty, albo w jedwabną tkaninę. Aby się nacieszyć poezją, ciśnie się lud francuski ilekroć mu pozwolą słuchać Wiktora Hugo; narody odradzające się odkopują i nowe krynice poezyi, począwszy od Petöffiego daléj do włoskich i amerykańskich liryków. Oto materjalizm.

Nie można zamykać rozmarzonych oczu i zapomnieć o zboczeniach, o nacisku społecznych nędz, o politycznych bezprawiach, jakie dzisiaj jeszcze na ludności ciążą. Ale mając przed sobą powszechną wystawę, a w niéj kilkadziesiąt sal dla sztuk pięknych, możemy sobie jednak powiedzieć, że mogłaby już iść na emeryturę i owa bajka: ż e d a w n i é j l e p i é j b y ł o; możemy nie tracić otuchy, nie zakładać rąk i nie drzémać w zwątpieniu, bo idziemy coraz daléj, naprzód, to i dojdziemy nareszcie — byleśmy tylko dojść chcieli. — A potém — znowu dalsze, nowe otworzą się horyzonty. (Ciąg d. n.)

Wyszła już pierwsza część — „**Pamiątki dla rodzin polskich**“ — i przedpłaciciele mogą takową odebrać.

Wszelka przedpłata nawet na książkę lub dziennik, o którego pożyteczności wszyscy głoszą, idzie u nas ciężko, tak z powodu dziwnéj obojętności dla własnych umysłowych potrzeb, jak i z powodu obawy „kupowania kota w worku“. Otóż zawiadamiamy, że wyszły zeszyt może każdy interesowany przeglądnąć sobie w biurze Redakcyi.

Do zeszytu tego dołączoną jest następująca odezwa:

„Podając czytającéj Powszechności pierwszą część naszego dzieła, obejmującą straconych na szafotach. rozstrzelanych i zmarłych na wygnaniu Syberyjskiém, ufamy, że wszelkie niedokładności jakie w tém dziele znaleść się mogą, a których przy najusilniejszych staraniach uniknąć było niepodobna, łaskawie uwzględnionemi będą; tém bardziéj, że kilkoletnia praca tego rodzaju łączyć się musi z niesłychanemi trudnościami, o czém bliżéj i obszerniéj czytelnik objaśnionym będzie w przedmowie przy drugiéj części dzieła dołączonéj.

Wstęp przez Bolesławitę napisany, będący zaokrągleniem naszego dzieła — oraz dwie t a b l i c e f o t o g r a f i j, z portretami znaczniejszych osobistości w liczbie 24—30, Szanownym Przedpłacicielom przy następnéj części dzieła będą dołączone.

Osoby pragnące jeszcze korzystać z oznaczonych p r e m i j dla pierwszych 300 Przedpłacicieli, którzy otrzymać mają wyżéj wzmiankowane fotografie b e z p ł a t n i e, raczą spiesznie nadesłać oznaczoną przedpłatę, gdyż po dopełnieniu téj cyfry, cena dzieła z fotografijami znacznie podniesioną zostanie.

Warunki przedpłaty: Na całe dzieło obejmujące około 30 arkuszy druku, w Austryi złr. **3** centów **50**, w Prusach i całych Niemczech talarów **2**, we Francyi, Szwajcaryi i Turcyi **8** franków, w Anglii i Ameryce **7** szylingów, w Królestwie polskiém złp. **14**.

Ponawiamy raz jeszcze usilne nasze prośby szczególnie do mieszkańców Galicyi, W. Ks. Poznańskiego i innych prowincyj dawnéj Polski, które nie małą liczbę ofiar na ołtarzu Ojczyzny złożyły, aby zechcieli wspomódz nas w téj pracy nadesłaniem wiadomych szczegółów tyczących się nieboszczyków, którzy pochodzą z tych prowincyj. Wszelkie sprostowania i szczegóły co do części obejmującéj poległych itd., można nadsyłać *franco* pod adresem: „K. Wilda“ i „G a z e t y N a r o d o w é j“ we Lwowie, księgarni „L e i t g e b e r a“ w Poznaniu, „L i b r a i r e d u L u x e m b o u r g“ w Paryżu, administracyi „C z a s u“, „K a l i n y“ i drukarni „Wł. J a w o r s k i e g o“ w Krakowie.

MODY.

Na żądanie Sz. Czytelniczek, urządziliśmy i tym razem podwójną rycinę wraz z arkuszem krojów, umieszczając to, co najmodniejsze a zarazem gustowne i praktyczne.

Dołączona rycina zawiera siedm ładnych, modnych i stosownych na nadchodzącą jesień ubiorów, bez zbytecznych wyszyć i wieszadełek. Dwie osoby na rycinie mianowicie 1sza i 7ma są z wystawnym gustem ubrane, a zwłaszcza osoba 1sza w gustownéj sukni (Cosack), któréj krój na arkuszu w naturalnéj wielkości zamieszczony. Niżéj podamy opis téj sukni.

Niemniéj gustowną jest drugiéj osoby katanka, któréj wzór znajduje się pomiędzy dawniejszemi. Spodnica téj damy jest krojona w kliny, dołem szeroką falbanką ozdobiona.

Trzy ubrania dla dzieci, do rozmaitego wieku zastosowane, są modne i praktyczne

Szósta dama nosi suknię klinową z żółtego lub popielatego koloru, suto wyszyciem szmuklerskiém i paciorkami ozdobioną. Suknia jest krojona w jednéj długości, na któréj wyszycie podwójną podniczkę naśladuje. Dokładny krój na taką spodniczkę podajemy na arkuszu Fig. Nr 1—5, do którego opis dołączamy.

Opis krojów.

Arkusz 1. Fig. 1—5. **Spodniczka jesienna** należąca do osoby 1széj na rycinie. Ładna i modna ta spodniczka stosuje się dla osoby mającéj pół szerokości piersi 47 — 48 centimetrów, mierząc w miejscu, gdzie jest największa objętość. Staniczek można zrobić stosownie do upodobania: wycięty lub pod szyję, jeżeli ma służyć do ubrania jesiennego. Otwarte rękawy są z czasów Ludwika XIII, lecz można je także zastąpić wązkiemi, których krój kilkakrotnie dawniéj był dołączony. Dołem obszywa się (spodniczka) aksamitką lub krepinką.

Fig. 6—9. **Katanka do domowego ubrania** w zmniejszeniu. Sposób zwiększania podaliśmy w jednym z pierwszych numerów.

Doskonała ta katanka spięta jest z przodu na jeden rząd guzików dość gęsto umieszczonych; w tyle są fałdy poczynające się od boczków; z przodu zaś małe kieszonki. Obszycie zostawiamy do woli.

Fig. 10. **Mantylka** (narzutka) **jesienna** z miękkiéj wełnianéj materyi lub korciku. Strojniejsza bywa z aksamitu z bogatém wyszyciem paciorkowém. Na arkuszu dołączamy tylko pojedyncze wyszycie szutaziem; w każdym zakręcie znajduje się dosyć duży paciorek, co przy dokładném wykonaniu bardzo ładnie wygląda.

Fig. 11—12. **Nowe wyszycia**. Wyszycia te używają się do mantylek lub sukien, bądź szutaziem bądź maszyną do szycia wyrobione.

Arkusz drugi. Fig. 1—5. **Modna suknia klinowa** dla szczupłéj osoby. Suknia ta złożona jest z dziewięciu części klinowych w tyle w kształcie ogona spadająca. Przedni klin Fig. 1. jest w całości krajany, tj. z jednego bryta, kończy się u góry całkiem wązko, do tego bokami (z każdéj strony) przyłączone są Fig. 2, 3 i 4. Pomiędzy dwoma czwartemi klinami umieszczone są dwa piąte, formujące tył sukni, w samym tyle są one zeszyte.

Dokładne zeszycie klinów oznaczamy głoskami A. B. C. D i t. d., do których takież głoski się przyłączają.

Suknia ta w pasie nie ma fałdów, dołem jednak dostatecznie rzęsista Potrzeba na nią tylko pięć całych brytów (półtora łokcia szerokiéj materyi) ponieważ się kliny jedne w drugie krają. Potrzeba do tego materyi bez szlaków, tj. takiéj, którąby można obracać w krajaniu. Do krajania składa się dwa bryty jeden na drugi prawą stroną do siebie, przez co wypadną zawsze dwa jednakowe kliny, potrzebne na każdą stronę sukni. Jeżeli się suknia robi dla osoby niższéj, należy formę podług miary téjże osoby skrócić, lecz tylko dołem.

Fig. 6. **Wyszycie**. Jest ono zrobione z paciorków podwójnéj wielkości, a podług okoliczności także z kolorowych.

Fig. 7—12. **Nowe modele strojów damskich**. Podajemy tylko zarysy tychże, podług których znające się na tych robotach osoby, bezwątpienia łatwo je odrobią.

Korespondencja „Kaliny“.

P. ***L. H.*** w **Podolu**. Co do „Biblioteki“: ogłaszać się będzie prenumeratę na każde dzieło zosobna; co do „Pamiątki“ — załącza się właśnie ogłoszenie. Zapisano 1 złr. 50 c.

R. w **Rz**. Już wyczerpnięte.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerta miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje niezapieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.